

Warszawa, dnia 4 (16) Lipca 1870 roku.

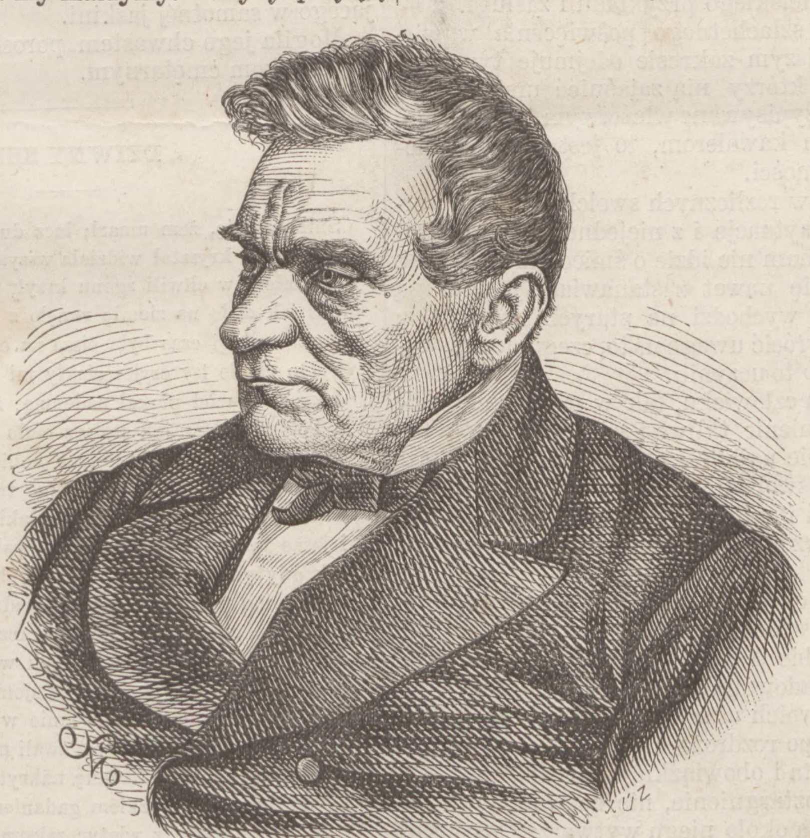
№ 28. | Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. | Rok VI.

STARZY KAWALEROWIE.

Lampa paląca się gdzieś w samotności, wprawia nas w zamyślenie... Kołysze się blado jéj wątły płomyk smutnie, a my marzymy. Gdyby przy jéj świetle siadła niewiasta z robotą w ręku, z tkliwością w wejrzeniu, gdyby ona przy jéj świetle czuwała nad gromadką śpiących, rumianych dziatek, jakże odmienną wydałaby się nam jasność téj lampy.

Takich ogników błędnych, świecących w pustkowiu życia i pośród ludzi znajdziemy niemało. Są to istnienia egoistyczne, odosobnione, dla których tęsknoty i znudzenia towarzystwo nie ma współczucia, jeśli się same dobrowolnie na nie skazały. Co więcéj, towarzystwo odmawiając im współczucia, żywi dla nich niechęć, ma do nich urazę, którą nosi w swém łonie, za szkodę mu wyrządzoną, za ujmę i tamę w jego rozwoju przyniesioną.

Społeczność składa się z rodzin: nie tylko moralność, ale i ilość ich stanowi jéj potęgę. Każde kółko zgromadzone około ojca i matki, jest dla społeczności święte, każda próżnia jest dla niéj stratą. W mężczyznie widzi ona zawsze twórcę nowego ogniska, zapewniającego trwałość i liczbę rodom i obowiązkom, cnotom i nadziejom; w tym, lecz w tym, który nieodpowiedział jéj potrzebom, widzi strzaskane ogniwo łączącego je łańcucha ludzkości, lampę palącą się w pustkowiu — istotę bezużyteczną a często wstrętną i szkodliwą, jednem słowem *widzi starego kawalera.*



Karol Libelt.—(Strona 331-a).

Tem to ona bowiem ostatniem imieniem oznaczyła ludzi bezżennych, obojętnych na cele rodzinne i ogólne, na cele moralności i wspólnéj potęgi; chociaż jako sprawiedliwa i wyrozumiała, nierozciąga ona bynajmniéj tego szyderskiego oznaczenia téj nazwy, do całego ogółu mężczyzn bezżennych.

Wie ona dobrze, że wielu mężczyzn stało się pasożytami i ciężarem ludzkości, gdy tymczasem niejeden stary kawaler, był prawdziwym ojcem dla przybranéj w duchu poświęcenia rodziny.

Takich społeczność czci i szanuje, u ogniska domowego daje im zaszczytne miejsce i patrzy z współczuciem na spokojny lub tęskny wyraz ich twarzy,

którym jak tajemniczym woalem osłaniają nieraz powody, dla jakich się wyrzekli królowania we własnéj rodzinie.

Jest więc dwojaki rodzaj starych kawalerów: ci, którym los przeciwny, poświęcenie często głębokie i niezatarte uczucie nie dozwoliły utworzyć nowéj własnéj rodziny, mającéj tyle wiązań wesela i boleści, tyle pociech i łez uszlachetniających; i ci, których płochość, ambicja, egoizm sprowadziły w wczesnéj młodości z drogi pragnień godziwych, określonych, zawarowanych granicami obowiązku, opromienionych widokiem celów wyższych, przyświecających losom społeczeństw.

Za pierwszymi idzie współczucie a często głęboka cześć, bo ten co ją odbiera, poczytywanym jest w mniemaniu drugich ofiarą zawistnych przygód, lub osobistego poświęcenia.

Serce szlachetnie bijące dla wielkiéj rodziny ludzkości, wynosi ich często nad poziom ludzi zwyczajnych, otacza ich aureolą, błyszczącą żywiéj na widowni świata, niż w cieniu domowego zacisza; bo oni żyją często dla jednéj wielkiéj myśli, dla jednéj żelaznéj pracy, dla jednéj bohaterskiéj boleści.

Szanujemy w nich wówczas kapłaństwo dobra i nauki, a jednak, chociaż uznanie pozdrawia ich wszędzie, przychodzi jednakże ubolewać, że nie mają oni wiernéj towarzyszki, coby im życie osłodziła, że nie mają dzieci, coby rozniosły na swoich czołach promienie rodzicielskiego przykładu i zasługi.

Gotowość do szlachetnego poświęcenia w większym lub mniejszym zakresie odejmuje tym z ludzi bezżennych, którzy nią zajaśnieć umieli, dwie cechy ogólne, przypisywane właściwym, pospolitym, typowym starym kawalerom, to jest cechy samolubstwa i śmieszności.

Humorystyka w rozlicznych swoich studjach czerpała komiczne sytuacje i z niejednego starokawalerskiego życia; nam nie idzie o śmiech ale o skutki. Nie będziemy się nawet zastanawiać, jaką drogą wielu mężczyzn wychodzi na starych kawalerów; wolimy raczéj zwrócić uwagę na to, czego się oni wyrzekli i dla czego to uczynili.

Jest w każdym człowieku, tak w mężczyznie jak w kobiecie, pragnienie tkliwe i szlachetne utworzenia naokoło siebie najbliższéj siebie czeladki, śród któréj serce najswobodniéj się wyrabia, rozwija, wylewa, kształci i nabiera téj piękności i hartu, które i na przestrzeni świata stanowią godność i zacność człowieka.

Pragnienie to odzywa się głosem serca, dopominającego się o spełnienie cnót najzacniejszych, o zapewnienie sobie pociech najgodziwszych. Kto umiał głos ten zadowolnić, znalazł punkt wyjścia dla wszystkich swoich uczuć; kto tego nie zrobił na czasie, błąka się po rozdrożach.

Rozrywki świata i obowiązki publiczne, dają mu zrazu niejakie roztargnienie, nie dozwalając uczuć próżni, jaka się na około niego wytwarza; wreszcie rozrywki zaczynają nudzić, a prace nużą. Ogląda się za dawnymi towarzyszami młodości, lecz oni wszyscy spoważnieli pośród rodzinnego koła; oni już nie tęsknią do zabaw światowych. Tak osamotniony człowiek spostrzega, że już siwieją mu włosy, a powaga małżonka i ojca jeszcze ich nie krasi. Tęsknota granicząca z obawą przejmuje mu serce, samotne ściany domostwa przykrzą się, wzdychając idzie do dawnych przyjaciół ogrzać się u ich domowego ogniska i wraca smutniejszy niż zwykle. Napatrzył się tam szczęścia i spokoju, które mu w domu sen przerywają. Rodzinne uczucia odzywają się w nim o prawa swoje.

W starodawnych obyczajach naszych żenienie się, uczciwe wychowywanie grona synów i córek na podporę domu i kraju, należało do cnót i zasług obywatelskich; było także miarą normalnego rozwoju społeczności, która nie chce gasnąć lecz wzrastać, która, na przekór grabieżom śmierci, stawia radość chrześcijańskich narodzin, na łonie cnotliwych ojców i matek.

To też późna sędziwość tych zacnych ojców, którzy przy domowém ognisku błogosławili nieskalaną ręką, a nieskalanemi usty nauczali i żegnali potomstwo swoje, była podobną pogodnemu zachodowi słońca.

Jakżeż ona chmurną być musi dla starego kawalera!

Jeśli on na strunie serca przeznaczonéj rodzinie, nawiązał strunę ludzkości, którą kochał, któréj służył w duchu miłości i poświęcenia, parę kropel wdzięczności, gwiazdka czci i współczucia uczynią mu lżejszą smętną koronę, pod którą pochyla czoło, idąc sam jeden do grobu.

Jeśli zaś żył tylko dla siebie, kochał tylko siebie, gdzież posiew i plon jego przyszłości?

Zgon jego, jest niemal zgonem zwierzęcia konającego w samotnéj jaskini.

Mogiła jego chwastem porosła i służy za gniazdo jaszczurkom cmętarnym. *Antonina.*

DZIWNY SEN.

Śniło mi się, żem umarł; lecz dusza przez ciało
Jak przez kryształ widziała wszystko, co się działo:
Słyszałem w chwili zgonu krzyk matki, a potem
Coś jak ciało na ziemię runęło z łoskotem,
I przez długi czas była cisza na około,
Tylko ciepłe łzy czyjeś ciekły mi na czoło,—
Jakiś przyjaciel płakał nademną, żem nie żył.
Potém czułem, jak stolarz ciało sznurkiem mierzył,
A po nim starych, brudnych kobiét weszła kupa,
I poczęły myć, czesać i ubierać trupa.
Ustroiły mnie baby we frak i lakiery,
I jasne rękawiczki wcisnęły na palce,
Jak gdybym nie do grobu szedł, lecz tańczyć walce.
I zapalono przy mnie świéc dwadzieścia cztery,
Którym obcinał knoty dziad mrucząc paciérze,—
A ludzie szli przyglądać się jak w trumnie leżę.
Słyszałem głosy obcych i znajomych osób,
Jak przez trzy dni sądzili mnie w przeróżny sposób;
Jedni złym, drudzy dobrym zwali mnie człowiekiem.....
Że rad byłem, gdy trumnę nakryto już wiekiem,
Że nie będę już ludzkiém gadaniem nudzony,—
Niedługo potém z wieżyc zajęczały dzwony,—
Orszak ruszył na cmentarz wśród deszczu i błota;
Wtedy duszę mą ciężka objęła tesknota
Za tą ziemią, com rzucał i było mi strasznie
Gdym pomyślał, że światło dnia za chwilę zgaśnie,
I że świat ten zasłonią mi grobowe ciemnie;
Że ci, co szli za trumną, powrócą bezemnie,
Będą śmiać się, weselić, żyć i chodzić wszędzie,
Zrywać kwiaty jak przedtém—a mnie już nie będzie.

I gdy trumnę spuszczano do grobu—a potem
Usłyszałem, jak ziemia padała z łoskotem
Na wieko i śpiéw księży i płacze nad ciałem
Coraz mniéj dochodziły mych uszów,—struchlałem
Trwogą zdjęty—i w oczach zrobiło się ciemno,
I długim czas nie wiedział, co się działo ze mną.—

Aż ujrzałem się znowu gdzieś, w jakimś ogrodzie,
Wśród zapachu, zieleni, w rozkosznym drzew chłodzie;
Jakieś postacie, szaty odziane białemi,
Jak łabędzie, skrzydłami nie tykając ziemi,
Płynęły pośród kwiatów brylantowéj rosy,
I po wodach błękitnych, gładkich jak niebiosy
Pełnych gwiazd, przechodziły jak po ziemi tłumem,
Cudne wydając tony białych skrzydeł szumem.
Siedząc z boku gapiłem się na dziwy one,
Bawiłem niemi oczy, ale zasępione
Serce moje nie mogło rozbawić się niemi,
I tęsknota je rwała do dalekiéj ziemi

Wtém blask oczy uderzył: aleją cienistą
Szedł jakiś starzec, kapą odziany złocistą,
Na którą białéj brody spadał strumień długi;
Za nim szły dwa Anioły, jak za panem sługi.
Kiedy mnie mijał starzec, zatrzymał się chwilę,
Spojrzał i zwróciwszy się do tych, co szli w tyle,
Spytał: kto to? A anioł rzekł ze czcią głęboką:
,,Jeden z tych, co dziś z ziemską rozstał się powłoką."
—,,Czemuś smutny?—zapytał starzec zadziwiony—
Kiedyś dostąpił tego, o co miljony
Proszą mnie tam na ziemi ciągle. Jesteś w niebie!
Smutek jak sandał zrzucić powinieneś z siebie
Wchodząc w bramy niebiosów, do gwiazd i błękitu."
A ja na to: Jehowo—odrzekłem—źle mi tu,
I nudno w waszém niebie, bo tu u was nie ma
Mojéj matki ukochanéj z siostrzyczkami trzema,
Ni starego mego ojca... ni dworku nad Wisłą—
Więc mi tęsknotą wielką serce się tu ścisło,
I jestem tu jak obcy. Łzy mi głos zalały.
A anioły tęsknoty méj nie zrozumiały,
I oczami zdawały wzajem pytać siebie:
,,Czego pragnie ten człowiek, kiedy już jest w niebie?"
Jehowa stał nademną w głębokiéj zadumie—
Czytałem w twarzy jego, że ból mój rozumie,
Więc się mu jak proch do nóg rzuciłem w pokorze
I prosiłem: „Pozwól Ty, choć raz jeszcze, Boże,
Zobaczyć znowu ziemię." A Pan głową skinął,
I wtedy anioł skrzydła tęczowe rozwinął,
I wziąwszy mnie w ramiona przeszedł ziemi kawał,
I nad błękitem, co mi wodą się wydawał,
Stanąwszy, zanurzył się w téj błękitnéj fali,
I spadaliśmy razem coraz niżéj, daléj,
Mijając mleczne drogi gwiazd, jasne księżyce,
Obłoki—aż nas białe klasztorne wieżyce
Pozdrowiły dzwonami, a ziemia zapachem.
I zatrzymał się anioł przed klasztornym gmachem,
Pod namiotem szumiących drzew, gdzie las bielański
I rzekł: ziemia!

Dzień budził się—na Anioł pański
Dzwoniły dzwony z wieży na tle nieba, które
Wstające słońce w jasną odziało purpurę.
Wśród białéj mgły porannéj i mogilnych znaków,
Ujrzałem miasto stare i krzyknąłem: Kraków!
I wyciągnąłem ręce do miłych pamiątek,
I z dziecinną radością każdy znany kątek
Odwiedzałem oczami; ścieżką, co się wije
Wśród olszyn i topoli i w zbożu się kryje,
Potem sznureczkiem białym ciągnie się nad rzeką
Pośród zielonéj trawy daleko—daleko,
I wśród sadów, rybackich chat znowu się chowa,—
Tą ścieżką myśl ma biegła prędko do Krakowa,
I aniołowi ręką wskazując w tym grodzie
Każdą wieżę, co nieba błękit krzyżem bodzie,
Każdy muru kawałek słońcem pozłocony,
Pytałem: prawda, jakie cudne nasze strony?
Anioł słuchał nie słysząc—wzrok zwracał do nieba,
I zamiast odpowiedzi rzekł: wracać już trzeba,
I wziąwszy mnie za rękę chciał unieść ku niebu.
Rozpacz mnie ogarnęła, jak w chwili pogrzebu;
Tęsknota bunt podniosła przeciw woli Bożéj,
I począłem szamotać się z nim wśród rozdroży,
I wołać co sił stało głosy ochrypłemi:
,,Ja nie chcę nieba—puść mnie! chcę żyć tu na ziemi."
Szamotanie zbudziło mnie—i wraz z tą chwilką
Odetchnąłem, gdym poznał, że to był sen tylko.—
Spojrzałem ucieszony, wesół koło siebie,
I dziękowałem Bogu, że nie jestem w niebie.

Michał Bałucki.

KAROL LIBELT.

Ktokolwiek z kształcącéj się młodzieży dojdzie już w rozwoju swego umysłu téj epoki, że myśli i uczucia jego łakną wskazówek w wyborze piękna i prawdy, ten musi się zabrać do czytania dzieł estetycznych i filozoficznych Karola Libelta i do uczenia się z nich jak z katechizmu mądrości. Piękność i prawda, to dwie przewodnie gwiazdy, za których blaskiem postępując, nie zbłądzisz w labiryncie mądrości; one cię uszlachetnią na duszy, rozgrzeją na sercu, a w ciemnych wędrówkach życia będą ci światłem wybawczém. Piękność i prawda to cechy i znamiona prac, życia i dążności Karola Libelta. Na podstawie tych dwóch wielkich podwalin życia, oparł on całą pracę swych myśli, całą budowę swego twórczego ducha. Karol Libelt jest estetykiem i filozofem. Że zaś w Przyrodzie saméj najwięcéj téj piękności i prawdy dopatrzeć się można, Libelt przeto drogą powyższych dwóch nauk doszedł do szczytnego badania natury, praw jej życia, i ruchu i sięgnął wyżéj ziemi, sięgnął gwiazd, niebios i prawdy Tego, który tę wielką mechanikę świata nastroił od wieków. Oprócz estetyki i filozofji, astronomja stała się także ulubionym przedmiotem tego męża, który nadto i w naukach społecznych z równym zapałem i powodzeniem pracuje, siejąc na różnéj glebie ziarno prawdy i miłości i budując pokolenie jedno po drugiém, na pożytek świata i ludzkości.

Karol Libelt urodził się 8 Kwietnia 1807 r. w Poznaniu z niezamożnychr odziców. Wcześnie utraciwszy ojca, o sierocym chlebie odbył nauki w gimnazjum Poznańskiém. Roku 1826 udał się na uniwersytet Berliński, gdzie udzielanie lekcji było jedyném jego utrzymaniem. Roku 1830 za napisanie rozprawy o panteizmie w filozofji, t. j. o nauce tych, którzy cząstki Bóstwa upatrują w każdém stworzeniu i w każdym pierwiastku przyrody, otrzymał stopień doktora filozofji. Później zamieszkał na wsi, a oddając się gospodarstwu, pracował z największém upodobaniem w zakresie naukowym, szczególnie w dziedzinie filozofji i rozprawami swemi zasilał wszystkie niemal pisma perjodyczne i zbiorowe.

Roku 1840 powrócił do Poznania i miewał przez półtora roku prelekcje publiczne estetyki i literatury niemieckiéj. Późniéj został zastępcą profesora fizyki i matematyki przy gimnazjum niemieckiém w Poznaniu, na któréj posadzie pozostawał przez dwa lata.

W roku 1849 założył z Ryszardem Berwińskim, mało znanym lecz wielce utalentowanym poetą, pismo polityczne p. t. *Dziennik Polski*, którego redakcja trwała atoli rok tylko jeden. Wydawał on nadto kilka innych pism w Poznaniu, a z nich na szczególną uwagę zasługuje czasopismo: *Rok*, pod względem krytycznym stojące najwyżéj z pism polskich. Poświęcając się następnie usługom publicznym, od lat 12 posłując na sejm Pruski w Berlinie, został członkiem Towarzystw naukowych w Poznaniu i Krakowie i wytrwale na polu piśmienniczém pracując, zjednał sobie imię pierwszorzędnego pisarza, filozofa i estetyka. Od kilkunastu lat mieszka w Czeszewie, dziedzicznéj wsi w Wągrowieckiém; w ostatnich latach zwiedzając Kraków i Lwów dowiódł swemi znakomitemi odczytami, że duch takiéj potęgi, jak jego, nie starzeje się, ale ogrzany najzdrowszemi zasadami, młodzieńczą na około siebie rozsiewa aureolę. W Krakowie odczyty Libelta miały za treść poglądy na warunki rozwoju społeczeństwa ludzkiego i rozbierały najdroższe i najgorętsze uczucia, każdemu człowiekowi wrodzone niemal. Jako zaś w specjalnéj umiejętności astronomji, mąż ten idzie zarówno z najświeższemi téj nauki postępami dowodzi tego uczona jego, a popularnie napisana rozprawa o *Analizie spektralnéj*, która mocą bardzo łatwego doświadczenia, wyjaśnia teorją owych zjawisk świetlanych na słońcu, pospolicie *plamami słońca* zwanych. We Lwowie miał Libelt odczyt równie specjalnie umiejętny. Wyszedł on w broszurze p. t. „O kometach i gwiazdach spadających.“

Z dzieł Libelta wymienić tu musimy następujące: „Filozofja i krytyka“ Tomów 4. System umnictwa, Poznań 1857. Estetyka Tomów 3. Petersburg 1854. Pisma pomniejsze Tomów 6, Poznań 1849 — 1851. „Dziewica Orleańska,“ roku 1847.

Prace Libelta są każdemu młodemu człowiekowi, szukającemu prawdy i piękna, niezbędnie potrzebnemi. W nich złożył Libelt owoc swych głębokich studjów i podał je jako pokarm dla młodych serc, (mianowicie też myślę tu o Estetyce) i umysłów z tym zamiarem, iż przejęte zasadami w nich zawartemi, pojmą łatwiéj swe przeznaczenie i podobieństwo do Stwórcy, a tém samém naśladując mistrza, zbliżać się będą do niego udoskonaleniem swego ducha. Wpływ dzieł Libelta polega na umoralnianiu i podniesieniu ducha człowieka. Prawdy religijne, podawane wjego rozprawach, więcéj budują, uzacniają i podnoszą, aniżeli nie jedno kazanie, odczytane z przygotowanéj przez kapłana kartki. Czytając prace Libelta czujesz, jako ci dusza rośnie i potężnieje do lotu w krainy wyższych sfer, serce ogrzewa ci uczucie najwyższe, bo miłość tego co wzniosłe, co piękne, co nosi na sobie piętno wszechmocy bożéj, co wolne od skaz i przywar ziemskich, co najtrwalsze z wszystkiego, bo nieśmiertelne jak Bóg i wielkie jak wszechświat, który wyszedł z rąk Jego. Zaiste zawiłe i zagadkowe nieraz teorje, nad których rozwikłaniem nadarmo umysł się twój wysilał, rozjaśnia ci nauka Libelta, a tak dostępnie, tak zrozumiale, iż dziwisz się potém, czemu, szukając prawdy, macałeś tylko do około, a nie dostałeś się do niéj, skoro ona tak łatwa, tak prosta, tak widoczna. To też jest właśnie znamieniem wielkości ducha i rozumu i na tém polega prawdziwa i zdrowa filozofja.

Estetyka Libelta, ta nauka o piękności uczuć i myśli, była podstawą wielu późniejszych prac uczonych naszych pisarzy, wszyscy się na niéj opierali, wszyscy czerpali z niéj wskazówki do swoich studjów, bo Libelt wyczerpał w niéj całą naukę o tem, co zachwycić może niezepsute serce człowieka i zapewnić mu zdoła najtrwalsze szczęście na ziemi, bo zamiłowanie w prawdzie i tych cudach Przyrody, tak obficie do koła nas rozsianych. Pewną i doświadczoną jest rzeczą, iż człowiek, który w dziełach takich, jakiemi są wszystkie prace Libelta, zasmakował i zabrał się z upodobaniem do nich, nie będzie moralnie złym, bo treść nauki o pięknie i mądrości, uzacni i uszlachetni jego duszę.

O filozoficznych nadto studjach to jeszcze nadmienić tu musimy, że Libelt, zajmując się filozofiją, któréj nierozważne badania nie jednego sprowadziły na bezdroża niewiary i mędrkowania, nie przestał być nigdy chrześcijaninem; będąc najwyższym filozofem nie utracił religji. Inna to rzecz badać i rozjaśniać odwieczną prawdę, a inna obalać ją półmędrków rozumem, niezdolnym natomiast nic nowego postawić. *Religja* jest podstawą filozofji, w tém znaczeniu, w jakiém ją Libelt pojmuje. Z zasad też tejże religji, z zasad najwznioślejszych jéj praw miłości bliźniego, wypływa cała teorja poglądu Libelta na społeczeństwo ludzkie, w którém jedynie tylko odróżnia wyższości i przywileje, podług wyższości i przywilejów ducha i wiedzy. Innéj różnicy nie ma, innych nie ma przywilejów.

Im wyższym jesteś duchem, sercem, moralnością, tém godzien jesteś wyższego uznania w społeczeństwie i to jedynie po to tylko, abyś, będąc uznanym i szanowanym, okazał uznanie i szacunek nie dla siebie, jeno dla idei, dla zasad, które wyznajesz i przedstawiasz. Uznanie i szacunek prawdy, miłości, piękna duszy, uczuć i myśli, oto cel wytknięty społeczeństwu przez Libelta, oto jest dążność jego prac i życia, któréj się z wzorową wytrwałością oddaje.

J. K. Turski.

WYCIECZKA W PŁOCKIE.

(Dokończenie, patrz Nr. 27-y).

Zbliżam się nareszcie do końca. Ponieważ celem naszéj podróży było Pepłowo, a mojéj rozerwanie się, nabranie nowych sił, energji i życia, dokazawszy zatém tego wszystkiego jak najzupełniéj, dzięki towarzystwu p. Adama i nieocenionego koleżki Franka, zdaje się że nie pozostaje mi już nic innego, tylko położyć pióro i wstać od stołu. Na nieszczęście, dla znużonego zapewne czytelnika, wracaliśmy inną, nie tą samą drogą. Cóż z tego? Oto, że jako sumienny sprawozdawca wrażeń, minąć jéj nie mogę. Z drugiéj znów strony, jako człowiek z sercem, uwzględnić muszę położenie tych, których nudzę a którzyby radzi byli jaknajprędzéj zobaczyć mnie w Warszawie, wolnego raz na zawsze od wszelkich zachcianek opisywania im swoich myśli, gawęd, dat, faktów i licho wié czego.

— Wybrał się z motyką na słońce, powie mi niejeden.

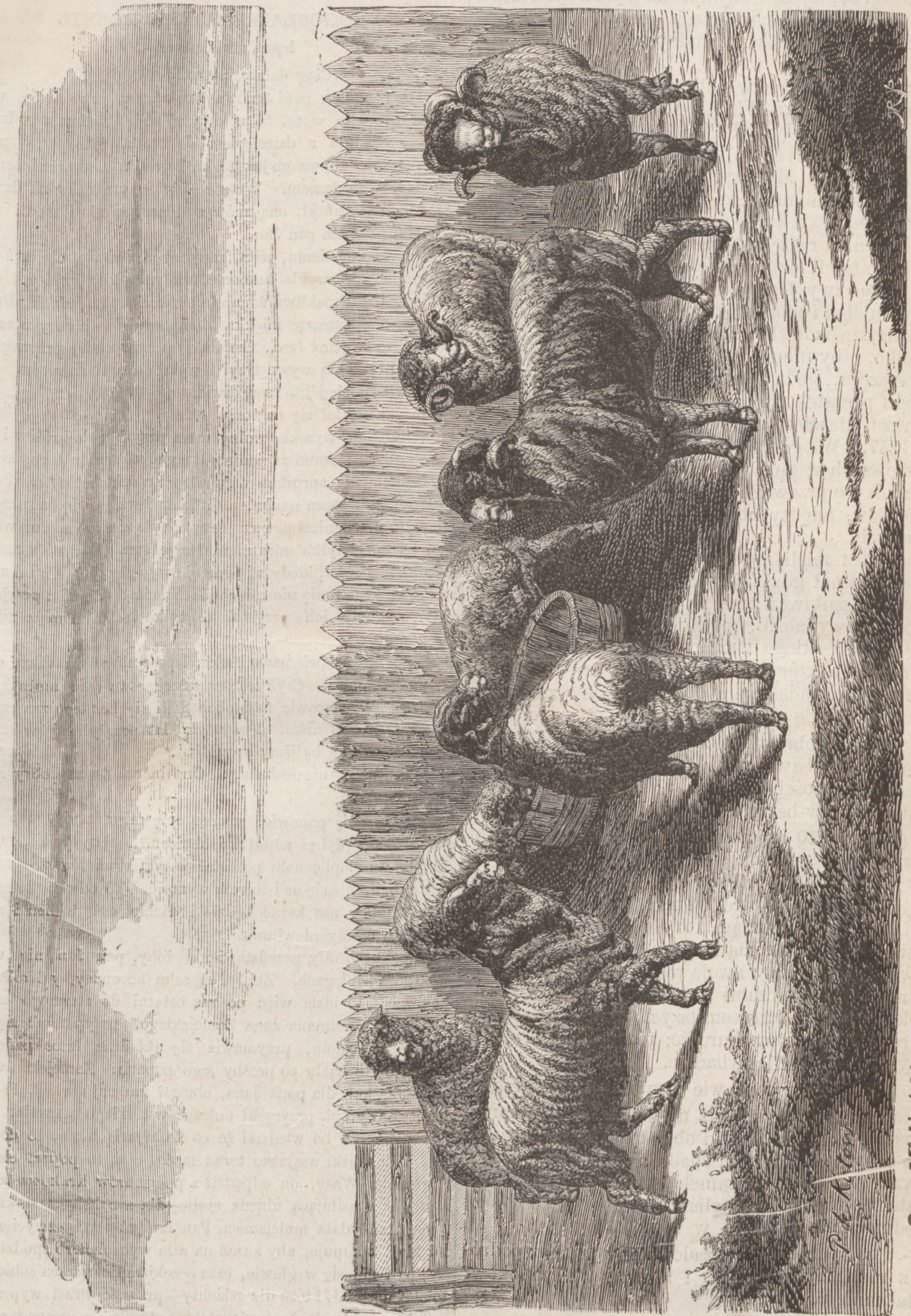
— Baje i baje, dorzuci drugi.

— Nieznośny! szepną jakie koralowe usteczka.

Trudno. Pocieszam się tylko tém, że może się też przecie znajdzie choć jedna osoba, która mnie pojmie, zrozumie, odczuje i zawoła:

Byle długo... Z téj więc przyczyny uważam sobie za obowiązek choć cokolwiek, choć kilkoma słowami wspomnieć jeszcze na zakończenie, o naszym powrocie ze wsi.

Pożegnawszy Pepłowo i jego uroczą rozmaitość



Owce Mielżyńskiego i Chłapowskiego z W. Ks. Poznańskiego, wynagrodzone medalem złotym na wystawie Paryskiéj 1867 r.

Bajże baju po zwyczaju
O tym naszym pięknym kraju!
Pleć pleciugo, byle długo...

wraz z mieszkańcami, polami i lasami, spojrzawszy jeszcze raz na gościnny dwór, na *Brzostówkę* i strzelającą ku niebu wieżyczkę kościółka, siedliśmy na

obszerną wygodną bryczkę i ciągnieni czwórką dzielnych rumaków, puściliśmy się raźnym kłusem ku Warszawie. Minąwszy po drodze małą nieznaczną i ubogą mieścinę *Bodzanów*, minąwszy odwieczne mazowieckie historyczne grody: *Czerwińsk* i *Wyszogród*, kąpiące się nieomal z prawego brzegu Wisły w jéj głębokich nurtach, stanęliśmy wieczorem na nocleg w dość schludnym hotelu w *Zakroczymiu*.

Miasto to położone w gubernji Płockiéj, powiecie Płońskim nad rzeką Wisłą, odległe jest od Warszawy mil 5. Niegdy było jedném z główniejszych i stolicą oddzielnéj ziemi w księstwie Mazowieckiém. Po przyłączeniu Mazowsza do Korony, Zakroczym miał kasztelana mniejszego i starostę grodowego, który przemieszkiwał w dawnym zamku książęcym. Zamek ten, a raczéj dworzec, przebudowany kilkakrotnie, stracił dziś całkiem starożytny charakter i ma postać zwykłego murowanego domu. Pożary, wojny, nieład i morowa zaraza, poniszczyły tu najznaczniejsze budowle i zakłady przemysłowe. Został się tylko, niby niemy świadek onych minionych dni i nieszczęść, godny widzenia kościół parafjalny, którego początek odnosi podanie do r. 1001. Jest tu także klasztor OO. Kapucynów, wystawiony w r. 1757. W ogóle Zakroczym należy do miast porządniejszych w gubernji Płockiéj, a ludność jego, trudniąca się przeważnie rzemiosłami, wynosi około 4,000 głów, między któremi większa połowa starozakonnych.

Nazajutrz mieliśmy nieco kłopotu. Piotr raniuteczko zniknął gdzieś jak kamfora i pomimo oczekiwań i poszukiwań z naszéj strony, bylibyśmy go pewnie nie wynaleźli, gdyby nie energiczny współudział pepłowskiego woźnicy, krzepkiego i rezolutnego Stacha, który z batem w ręku, prawie za kołnierz przyprowadził nam go i postawił przed oczy pijanego i ledwie się na nogach trzymającego.

Nie ma nic obrzydliwszego i wstrętniejszego jak dobrowolne pozbawienie się trunkiem przytomności, pamięci i godności ludzkiéj. Król natury, przemienia się wtedy w bezrozumne zwierzę.

O godzinie 10 najęwszy przewoźników, z końmi i bagażami poczęliśmy się przeprawiać promem na lewy brzeg Wisły. Piękny był widok. Na dworzu jasno i ciepło, na niebie słoneczno i błękitnie, pod nami mętna, pluskająca i biaława pani rzek, tu właśnie czarną, widomą na powierzchni wstęgę wód Narwi przyjmująca w swoje ramiona; za nami groźny, najeżony paszczami armat (*Modlin*) Nowogeorjewsk, jedna z najznakomitszych twierdz, nie tylko w Królestwie ale w Europie; przed nami drzewa, chaty i zabudowania rybackie.

Po godzinnéj przeprawie przybiliśmy do brzegu.

Nie zatrzymując się już nigdzie, chyba z konieczności dla popasu koni i obandażowania poranionego Piotra, który nam spadł na szose jak kawał drewna, po południu, zameldowawszy się na Marymontskiéj rogatce, stanęliśmy nareszcie po dwóch tygodniach nieobecności, w Warszawie.

— I cóż panie młody, zadowolony jesteś z podróży, z rozlicznych wrażeń i nieznanych widoków? spytał mnie p. Adam.

— Bardzo!

— Nie robi się już panu głupio na sercu?

— Nie. Owszem, czuję się tak rzeźkim, raźnym i odrodzonym, jakbym się skąpał w jakiéj cudownéj, zaczarowanéj krynicy.

— Cieszy mnie niezmiernie, żem pana wyleczył z tego chorobliwego stanu, a teraz do widzenia!

— Do widzenia!

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO BOSKIE

lepsze niż szlachectwo.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 26-ty).

Poszła sąsiadka; pani Janowa stoi znowu przy oknie, wygląda niema to w tę, to w ową stronę. Nadeszła godzina obiadu, zasiadła z dziecięciem do stołu. Chłopczyk pyta o ojca, matka zbywa go jak może, że zatrudniony, że interesa trzymają go za domem. Wreszcie i wieczór nadchodzi, dzwonią na anioł pański, ona znów stoi przy oknie i modli się. A w tém powraca pan Jan.

Skoczyła ku niemu, wita, zapytuje o zdrowie, ale mąż był w gorszym jak zwykle humorze, nie raczył spojrzeć ani odpowiedzieć. Troskliwa żona nie pozwoliła mu jednak długo milczeć, a nie mogąc miękką dłonią spędzić chmury z zasępionego czoła pana Jana, chciała go przynajmniéj przynaglić, aby się przed nią wywnętrzył i wylał co miał na sercu. Jakoż powiodło się jéj to szczęśliwie.

Pan Jan użalał się na los:

— Stanąłem wysoko, wolny mam przystęp do królów i cesarzów, z senatorami za paniebrat żyję, cóż mi z tego, kiedy urodzeniem nie sprostam najuboższemu szlachetce?... Przewyższam mieszczan nauką, majątkiem i wziętością, a przecież nie mam przed nimi pierwszeństwa i tyle znaczę, co oni wszyscy, bo także tylko mieszczaninem jestem. Cóż mi z nauki, co mi z mądrości, kiedy mię one nie wywyższają? Co mi z dostatków, kiedy mię nie robią szlachcicem? Co mi z przyjaźni panów, kiedy ich przyjaźń to tylko łaska, bom ja niższy od nich.

— O! błogosławieństwo boskie lepsze niż szlachectwo, odezwie się Janowa. Czyż to bez szlachectwa nie można być szczęśliwym? Ojcowie nasi obchodzili się bez tego zaszczytu, ani pomyśleli o niém. I my tyle lat przeżyliśmy w stanie mieszczańskim a byliśmy szczęśliwi.

Mąż milczy, uśmiecha się. Ona bierze to za dobry znak i ciągnie daléj:

— Lubią cię panowie, szanują cię mieszczanie, kto wie jakby było, gdybyś został szlachcicem?.. Daj pokój, zaniechaj troski, lepiej nam pozostać w tym stanie, w którym my się zrodzili, niż się nad innych wynosić. To odszczepieństwo, za które Bóg nas karać będzie i ciebie coś winien i mnie i dziecko cośmy niewinni.

Nie skutkowały przedstawienia żony, pan Jan nie ustał w swoich zabiegach. Zbliżył się sejm koronacyjny Króla Zygmunta III, idzie więc po raz ostatni do sławnego onego kanclerza i hetmana Jana Zamojskiego, przypomina się dawnym względom, przymawia się układnie łasce pańskiéj. Znalazło się wielu co prośby jego poparli. Zamojski zawsze bardzo łaskaw dla pana Jana, obiecał mu najpewniéj, że szlachectwo wyrobi, przyrzekł dołożyć wszelkiego starania. Pan Jan uwierzył, bo wiedział że co Zamojski obieca, to dotrzyma, a Zamojski wszystko teraz może. On to poparł elekcję Zygmunta Wazy, on odpędził z pod murów Krakowa armię austrjacką, usiłującą ubiedz stolicę dla arcyksięcia Maksymiljana, kandydata mniejszości. Pan Jan już pewny zwycięztwa, już klejnot kupuje, aby kazać na nim wyciąć herb spodziewany, pali mu się w głowie, czas oczekiwania skraca sobie wesołemi ucztami, które dla szlachty—przyszłéj braci wyprawia.

Tymczasem ciągłe i nieustające troski o gospodarstwo, o dom, o męża, praca nad siły i zmartwienia, pomnażające się z dniem każdym, wszystko to podkopało w krótkim czasie

wątłe zdrowie pani Janowéj. Widział to pan Jan, ale czém inném zajęty, mało zwracał uwagi na stan żony. Słabość z początku mała, zaczęła się stopniowo powiększać, a brak ratunku, pomocy lekarskiej i czułéj opieki, dokonał reszty. Choć osłabiona, narażała się zawsze jednakowo, a w skutek tego słabość z początku lekka zamieniła się niebawem w obłożną chorobę.—Gdy się to działo, pana Jana nie było przy niéj. Daremnie szukała go przy swojém łożu gasnącemi oczyma. Będąc już blizkim celu, oszołomiony do reszty, nie wiedział nawet, że jego żona, śmiertelną trawiona gorączką, dogorywa na łożu boleści. (*Dokończenie nastąpi*).

POGADANKI

z dziedziny Sztuk Pięknych.

V.

Nie brak nowości na Wystawie Tow. Zach. Sztuk Pięknych, — każdy miesiąc przysparza nowych utworów pędzla i dłuta. Pomimo to wystawa nasza, słabe tylko daje wyobrażenie o ogólnym ruchu sztuki krajowéj.

Miasto nasze jest widocznie zbyt małém i ubogiém, ażeby mogło stać się ogniskiem, osią działalności artystycznéj, tak przynajmniéj wnosić należy z rosnącego ruchu decentralizacyjnego, objawiającego się pośród większości artystów. Niedawno naprzykład donoszono nam, że jeden ze znakomitszych przenosi się do Wiednia.

Wyjazd za granicę w celu kształcenia się jest rzeczą chwalebną i konieczną. Lecz osiedlanie się za granicą na długie lata lub i na zawsze, oddziaływa najniezawodniej szkodliwie na smak i zamiłowanie w sztukach pięknych ogółu, a niemniéj i na samych artystów, którzy expatriując się (z małemi wyjątkami) jak moralnie tak i materjalnie bardzo małe osiągają korzyści.

Jak temu olbrzymowi mitologicznemu, który, za dotknięciem się ziemi, nowych sił do walki nabierał, tak i artyście tylko ziemia ojczysta dodawać sił może i powinna, a że jest zdolną—dowodem najlepszym wypiastowane przez nią potężne osobistości, którémi słusznie chlubimy się.

Na poparcie tego, cośmy powiedzieli dotąd, wspomnimy ś. p. Simlera, który odbywszy początkowe studja za granicą, wśród nas dopiero rozwijał ostatecznie wszystkie zasoby swego talentu, zyskał uznanie i środki i dokonał dzieł, do którychby go zagranica pewnie lepiej nie natchnęła.

Gdyby wszyscy koloniści nasi z Wiednia, Rzymu, Monachium i Paryża szli za przykładem Simlera, nie mielibyśmy niezawodnie powodu do ciągłych użalań na brak zamiłowania, na brak u nas środków i zasobów artystycznych.

Przesiedlając się, jak to teraz w modzie, artyści nasi zniżają Warszawę do prowincjonalnego miasteczka, lichszego od jakiegoś tam Düseldorfu, a przez to i sobie i ogółowi szkodę przynoszą.

Lecz dość już o tém, sapienti sat; powróćmy do naszéj wystawy i nowych jej nabytków. *Dylczyński* namalował Juljusza Słowackiego w czasie jego pobytu na wschodzie. Wielu nie wié, jak określić rodzaj tego obrazu, czy zaliczyć go do portretów, czy do rodzajowych. Jest to właściwie portret idealizowany; — widocznie zamiarem artysty było odtworzyć nie same tylko rysy znakomitego poety i dla tego postawił go w fantastyczném otoczeniu, które w zwyczajnym portrecie byłoby nie na miejscu. Szkoda tylko, że P. Dylczyński nie zgłębił swego pomysłu i zapomniał, że idealizowanie nie jest bynajmniéj rozbratem z prawdą. *Buchbindera* mamy dwa nowe obrazy ,,Madonnę" i ,,Handlarza zakupującego resztki zamożności."

Pierwszy z tych obrazów malowanym był widocznie pod wpływem obcych szkół, brak mu originalności, pomimo to jednak wykazuje gruntowne studja artysty i wyższe wyrobienie jego estetyczne. Za to ,,Handlarz" jest zupełnie oryginalnym pod względem pomysłu i traktowania. To tylko mamy do zarzucenia, że artysta nie dość jasno myśl swoją wypowiada; stosujemy to szczególniej do postaci kobiecéj, nie dość wyraziście ucharakteryzowanéj, którą akcessorja, z celem widocznie użyte, komentują niedostatecznie, gdy sama za siebie nie mówi.

Sypniewskiego: ,,Epizod z bitwy Chocimskiej" przedstawia utarczkę Polaków z Turkami. W szczegółach byłoby to i owo do zarzucenia, zwłaszcza co do koni, ogół jednak obrazu przyjemnie wpada w oko.

Marszewskiego trzy krajobrazy: ,,Noc Ukraińska," ,,Brzegi Hiszpanji" i ,,Góry nad czarnym stawem," zwracają uwagę oryginalném i umiejętném traktowaniem. Marszewski nie ubiega się za jaskrawością, unika gwałtownych przejść i effektów, a pomimo to krajobrazy jego mają siłę, głębokość i wiele prawdy w kolorycie. Noc Ukraińska do powyższych zalet łączy jeszcze wiele uroku poetycznego i dla tego też powszechnie się podoba.

Schindler wystąpił po raz pierwszy na wystawie z obrazem ołtarzowym przedstawiającym: ,, Ś-go Izydora oracza."
W obrazie tym widoczną jest, jeśli nie ręka nauczyciela, to przynajmniej naśladownictwo ucznia— przytém Ś-go Izydora, jako Hiszpana i żyjącego, w wieku XII-ym, w strój dzisiejszy polskiego chłopa ubierać nie wypada.

Znajdujący się na wystawie obraz ś. p. Góreckiego ,,Ostatnia komunja," ma być zakupionym do zbiorów Towarzystwa Zach. Sztuk Pięknych. Szkoda, że w tymże celu nie zakupiono dotąd nic, z genialnych utworów ś. p. Grotgera.

Z rzeźby zasługuje na uwagę brązowa statuetka, przedstawiająca Ks. Boduina, założyciela Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie. Rzecz to bardzo ładnie skomponowana i wykonana przez P. Kucharzewskiego, rzeźbiarza, przebywającego obecnie w Rzymie. **F. T.**

Wiadomości Techniczne.

— Koléj żelazna o jednéj szynie. Z Paryża donoszą, że technik Larmajant sporządził lokomotywę i wagony, które potrzebują tylko jednéj szyny żelaznéj, a jadą równie szybko i bezpiecznie, jak na dwóch. W jeneralnéj próbie téj jazdy brał udział z polecenia Cesarza adjutant, jenerał Fave, który jest oraz dyrektorem szkoły politechnicznéj. Pociąg wyruszył z Raincey i przybył w 20 minutach do Montfermeil. Wszystko szło doskonale, szybkość jest taka sama, jak na zwykłych kolejach.

System pana Larmajant zasadza się na użyciu maszyny o trzech kołach z których jedno, środkowe, toczy się po szynie a dwa inne bieżą po ziemi prawie ślizgając się tylko. Cały ciężar dźwiga owe środkowe koło na jednéj szynie. Na przebytéj przestrzeni znajdują się znaczne zakręty i pochyłości. Kilku inżenierów amerykańskich przybyło umyślnie do Paryża, ażeby przypatrzéć się téj próbie. Szarlatanerji nie ma w tym wynalazku żadnéj. Zachodzi tylko pytanie, czy siła nowych aparatów odpowie wszelkim warunkom gruntu i transportu. Jeżli tak jest, natenczas nastąpiłaby zupełna zmiana całego systemu kolei żelaznych. *J. P.*

ROZMAITOŚCI.

— **Okrucieństwa sztuki kucharskiéj.** Już nieraz odzywały się głosy przeciw „tuczeniu gęsi gałkami,“ nazywając to dręczeniem zwierząt; już dawno potępiono zwyczaj gotowania raków żywcem. Dawniéj dopuszczano się większych jeszcze okrucieństw dla miłości brzucha, jak naprzykład smagając prosięta rózgami na smierć, ażeby mięso ich było delikatniejsze; a i dziś jeszcze wlewa nie jeden kucharz żywemu indykowi wrzące wino, zaprawione korzeniami do gardła i przytrzymuje dziób tak długo, do póków biedne zwierzę nie zginie w jego ręku. Ale nigdzie nie jest sztuka kucharska tak wymyślną i okrutną jak u Chińczyków, którzy są największymi smakoszami na świecie. Oto na przykład, stawiają oni patelnię z masłem na ogniu, mając na pogotowiu rozmaite korzenie i przyprawy, jako to: pieprz, cynamon, sól i t. p. Potém biorą kurę, kaczkę lub gęś i trzymają żywcem nad patelnią tak, że łapy dotykają się naczynia. Z wielkiego gorąca nabrzmiewają łapy i krew ściąga się do nich. Po dwóch lub trzech minutach maczają łapy w korzennych przyprawach i znowu trzymają je nad patelnią. Po takiéj kilkokrotnéj operacji, zbiega wszystka krew z ciała do nóg, które pęcznieją do grubości kilku cali, a zarazem przesiąkają korzeniami i tak jadane bywają same jako największy przysmak. Inna recepta kuchni Chińskiéj jest następująca: w przyrządzonéj umyślnie na to zamkniętéj wannie glinianéj, zamykają żywe jagnię, wstawiając tam zarazem kilka garnków z winem, octem, solą i t. p., a potem rozpalają pod nią wielki ogień. Z gorąca dostaje biedne zwierzę wielkiego pragnienia i wypija wszystkie płyny znajdujące się w garnkach, poczém pada wycieńczone i w krótkim czasie wychodzi z pieca jako wyborna pieczeń.

W podobny sposób przyrządzają także w Chinach żółwiów, nastawiając je do ognia w garnku napełnionym wodą i zatkanym nakrywką z małym otworem, przez który żółw' może zaledwie wystawić głowę. Gdy woda wrzeć zaczyna, korzysta naturalnie żółw' z tego otworu, by się dostać głową na świeże powietrze i wtedy poją go korzenném winem i innemi płynami, które on chciwie połyka. To pojenie trwa tak długo dopokąd żółw' ma siłę utrzymać głowę nad pokrywą, a ponieważ zwierzę to bardzo wiele wytrzymać może, więc operacja kończy się dopiero ze śmiercią biednego męczennika.

— **Wyścigi gołębie.** Najnamiętniejszymi miłośnikami gołębi są Belgowie, i ciągle odbywają się tam wielkie zakłady o szybkość gołębiego lotu. Niedawno puszczano z wystawy przemysłowéj w Hawrze w oznaczonym czasie t. j. o 9-téj godzinie z rana 576 sztuk gołębi, w północno wschodnim kierunku do Belgji. Za każdego puszczonego gołębia musiano zapłacić składkę wynoszącą sześć franków; do téj sumy dodał komitet wystawy sześćset franków, belgijscy wystawcy dołożyli tysiąc franków, a przez rozmaite inne dodatki urosła ogólna suma wszystkich zakładów do jedenastu tysięcy fr. Do tego przyłączyło się jeszcze mnóstwo zakładów prywatnych, robionych na pojedyncze gołębie i na różne odległości Że na takich wyścigach gołębich można coś zarobić, pokazuje się ztąd, iż jeden, liczący teraz dziesięć lat gołąb' zarobił już swemu właścicielowi 10,000 franków, odbywszy sześć wielkich wyścigów, między temi cztery jako zwycięzca. W tym samym roku odbył się podobny wyścig z Rzymu do Belgji, który trwał 9 dni, ponieważ powietrze było bardzo niepomyślne. Najpierwszy przybył gołąb', liczący już lat siedmnaście. Inna wyprawa wyścigowa wyruszyła w zeszłym roku z Agen, a brało w niéj udział, 1507 sztuk gołębi. Także w r. 1867 puszczono 1020 sztuk gołębi z twierdzy Sarazin, a przy każdym wyścigu przynosił najszybszy gołąb' wygrywającemu właścicielowi znaczną sumę.

SZKICE OBYCZAJOWE.

Pomysł i rysunek

Leona Kunickiego.

(Charakterystyka wąsów).

I.



Wąsy in spe (w nadziei).



Wąsy obywatelskie czyli szlacheckie. *(d. c. n.)*

Do tego Nr. *Opiekuna Domowego*, dołącza się dla wszystkich prenumeratorów, *siódmy zeszyt* **„Czytelni Domowéj.“**

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. — **Redaktor,** Oskar Stanisławski.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.